

OD ZAMOYSKIEGO AŻ PO MORZE,

czyli wywiad z kapitanem *Pogorii*

Jędrzek Semkowicz: Jak zaczął pan żeglować?

Kapitan: Jako młody chłopak mieszkałem w Warszawie, byłem wtedy uczniem szkoły Zamoyskiego i właśnie w tamtym czasie pierwszy raz zetknąłem się z żeglarstwem w ogóle. W czasie wakacji między drugą a trzecią– (liceum)–popłynęliśmy sobie we trzech taką Omegą drewnianą z Warszawy, a konkretnie z Zalewu Zegrzyńskiego na Mazury i z powrotem. I to mi się spodobało. Zacząłem pływać po śródlądziu, po Mazurach, ileś razy przepłynąłem Narwią na Mazury i w drugą stronę. Trochę pływałem po Mazurach, trochę po jeziorach Augustowskich. W którymś momencie stwierdziłem, że spędzam czas wakacyjny głównie na żeglarstwie. Przystałem wyjeżdżać w góry, głównie nastawiłem się na pływanie łódkami.

J.S: To znaczy, że zamiłowanie do żeglarstwa przyszło z czasem? To się zaczęło panu podobać?

K: Myślę, że tak. Tak się to stało. Natomiast jeśli chodzi o pływanie po morzach to zacząłem to robić stosunkowo późno bo chyba miałem już prawie 30 lat jak pierwszy raz popłynąłem na morze, w połowie lat 80. Ale to tak mi się spodobało że właściwie już przestałem pływać po śródlądziu i zacząłem pływać wyłącznie po morzu.

J.S: W jakim wieku pierwszy raz dowodził pan taką większą jednostką jako kapitan?

K: Ale co nazywamy większą jednostką? Jeśli chodzi o żaglowce – pierwszy raz zacząłem dowodzić *Pogorią* w roku 2001 jak sądzę, czyli mając około 45 lat, natomiast dużo wcześniej pływałem i dowodziłem samodzielnie małymi jachtami (9-12m). *Pogoria* była pierwszym dużym żaglowcem.

J.S: Z czym wiąże się stanowisko kapitana? Większość osób nie mających wcześniej styczności z żeglarstwem morskim uważa, że jest to zajęcie idealne, wymarzone – wydawanie poleceń, dumne stanie za sterem. Chciałem zapytać jakie jest pana zestawienie pomiędzy wcześniejszymi oczekiwaniami o byciu kapitanem, a rzeczywistością?

K: Zastanawiam się co odpowiedzieć, bo nie bardzo wiem o co pytasz. Od czasu kiedy zacząłem pływać na *Pogorii*, prawie nie zdarzyło się, żebym pływał na niej w innej roli. Na innych żaglowcach też zdarzało mi się, pływać jako kapitan. Można powiedzieć, w tym stuleciu pływam jako kapitan i to mi odpowiada. Jest to funkcja w mojej ocenie... no na pewno nie najłatwiejsza, bo wymagająca pewnej odporności psychicznej, jest to przede wszystkim duża odpowiedzialność, z czego załoganci nie do końca zdają sobie sprawę. Odpowiada się za ludzi przede wszystkim, za ich bezpieczeństwo i za mienie powierzone kapitanowi, czyli statek. I ta myśl właściwie kapitana nie opuszcza. Ale taka odpowiedzialność oczywiście towarzyszy nie tylko kapitanowi,

bo przecież załoga, która akurat pracuje, czy mechanik, czy bosman, starsi oficerowie – oni też gdzieś tam z tyłu głowy mają tę myśl, że są współodpowiedzialni za bezpieczeństwo załogi statku. Pływanie jako oficer, czy – tym bardziej – jako załoga, to inna sprawa, bo skala odpowiedzialności jest inna (zależnie od funkcji), ale nie można powiedzieć, że tej odpowiedzialności nie ma. Wykonując cokolwiek na pokładzie każdy członek załogi ma wpływ na bezpieczeństwo własne, ale też wszystkich innych.

JS: Jaki był największy żaglowiec, na jakim pan pływał?

K: Ja w sumie pływałem (tylko) na trzech żaglowcach . Najczęściej na Pogorii i chyba jakbym to zsumował to najdłużej, to znaczy największy dystans, chociaż bardzo duże dystanse pokonałem też na takim żaglowcu kanadyjskim Concordia, na którym pracowałem (nie pływałem przyjemnościowo, jak na Pogorii, po prostu tam pracowałem jako kapitan) i przepłynąłem na nim w sumie 25 tys. mil, czyli całkiem sporo w ciągu kilku lat, po ciekawych obszarach Atlantyku (od północnego po skrajnie południowy), a trzecim żaglowcem, którym zdarzyło mi się dowodzić był Kapitan Głowacki, to jest taki już mniejszy żaglowiec, mniej więcej o 1/3 mniejszy od Pogorii... No może o połowę. Pływałem na nim przez dwa sezony także jako kapitan. Największym z tych żaglowców była Concordia. Pogoria jest nieco mniejsza od Concordii, a Głowacki najmniejszy – kieszonkowy żaglowiec.

JS: To znaczy jest pan kapitanem zawodowo? Czy zajmuje się pan czymś innym?

K: Ja mam inny, lądowy zawód, którego się nauczyłem kiedyś tam w młodości na studiach, natomiast zawód żeglarski zdarzało mi się uprawiać przez pewne okresy w życiu, tak jak powiedziałem – dowodząc, czy to Kapitanem Głowackim wcześniej, czy Concordią później – więc mogę powiedzieć, że to stało się moim drugim zawodem, który od czasu do czasu wykonuję. Ale to jest taki zawód żeglarza, który sam się jakoś tak ukształtował na bazie hobby.

Ponieważ intensywnie uprawiane hobby przekształca się w zawodowstwo.

JS: Chciałbym zapytać o jakieś przygody, które pan przeżył. Myślę, że podczas wielu lat, które pan spędził na morzu, na pewno zdarzyła się



jakaś sytuacja godna wspomnienia. Czy uważa pan, że warto by jakąś przytoczyć tutaj?

K: Ciężko jest mi przywołać coś, co szczególnie utkwiłoby mi w pamięci. Mógłbym oczywiście bardzo długo opowiadać o różnych sytuacjach, zdarzeniach, obserwacjach, których doświadczyłem podczas tych lat pływania. Nic jakoś szczególnie dramatycznego mnie nie spotkało, za co dziękuję opatrności, bo wcale mi to niepotrzebne. Oczywiście były sztormy, nawet tu na Pogorii, tu na Śródziemnym, chyba tu miałem najsilniejszy wiatr w 2003 bodajże roku. Tutaj za Korsyką mieliśmy wiatr o sile przekraczającej słynną 12 w skali Beauforta, wiatr o sile 70-kilku węzłów towarzyszył nam przez pół doby i nas trochę wymęczył. To był rejs załogowy, tak jak wasz. Załoga była zamknięta pod pokładem, nie wolno jej było wychodzić na górę. Na górze byłem tylko ja i jeden oficer i tak sobie płynęliśmy z tym sztormowym wiatrem mniej więcej od Elby do Monte Christo (taka wyspa na południe od Elby), a potem się wydmuchało i zaczęliśmy odrabiać stracony dystans. No ciekawych rzeczy, jak mówię, było mnóstwo. Na Concordii miałem okazję, jak już wspominałem, opłynąć wiele różnych rejonów Atlantyckich, a więc byłem w Ameryce Południowej, czyli Brazylia, Argentyna, tamte strony. Byłem troszeczkę zauroczony Brazylią... albo nawet nie troszeczkę, całkiem mocno, chętnie bym tam spędził trochę czasu. Zdarzyło mi się tam spędzić dwa razy po trzy tygodnie bo tam staliśmy w przerwach semestralnych, odwiedziłem wyspę Tristan da Cunha, która jest czymś dość wyjątkowym, więc na pewno będę to wspominał zawsze. Widziałem 31 gór lodowych, które mijaliśmy na Atlantyku południowym. Do jednej nawet odważyłem się podpłynąć blisko całkiem, mierzyliśmy ją sekstantem, chcieliśmy wiedzieć jakie ma wymiary, miała 126m wysokości, 450 długości – taki mały Giewont (przypominała go kształtem), z którego ciągle obsypywał się lód do wody no i właśnie nie mogliśmy całkiem blisko podpłynąć, bo to byłoby niebezpieczne, bo ten lód ciągnął się jęzorem za tą górą i mógłby nam zagrażać, więc tylko zrobiliśmy serię ciekawych zdjęć i odpłynęliśmy dalej. No dużo fajnych wspomnień...

JĘDREK SEMKOWICZ

J.S: Więc pływał pan po wszystkich akwenach? Po Pacyfiku pan pływał?

K: Nie, nie, nie, pływałem tylko po Atlantyku z tych dalszych oceanicznych akwenów. Nie zdarzyło mi się (jeszcze) pływać po Pacyfiku, ani po Oceanie Indyjskim. Na Ocean Indyjski zajrzałem tylko leciutko, jak przepłynęliśmy Atlantyck z zachodu na wschód, to tam w szerokościach arktycznych.

J.S: Planuje pan kiedyś odwiedzić rejony Pacyfiku?

K: Może nie nazwałbym tego planem, bo plan to już jakaś konkretna sprawa, ale bardzo bym chciał oczywiście. Nazwijmy to takim cichym marzeniem.

J.S: Jak wspomina pan pobyt w XVIII liceum ogólnokształcącym?

K: Z perspektywy lat oczywiście wspomina się ten okres życia bardzo miło, choć, wiem,

że wtedy jak byłem tym młodym człowiekiem to marzyłem tylko o tym, żeby ta szkoła się skończyła. Dzisiejsze wspomnienia, te które przychodzą mi na myśl, są raczej ciepłe i sympatyczne.

J.S: Czyli wspomina pan szkołę dobrze?

K: Przede wszystkim była to zawsze dobra szkoła. Nie wiem, jak jest teraz w tzw. rankingach, ale wtedy była uważana za jedną z najlepszych co najmniej w Warszawie, jeśli nie w skali kraju. Pamiętam, że z naszej klasy, czyli tych około 30 osób, wszyscy zdawali na studia i wszyscy się dostali na studia, wtedy egzaminy były dosyć trudne i wymagające. Ja zdawałem na politechnikę i to były wielodniowe, ciężkie egzaminy z matematyki, fizyki i języka i punktacja i mnóstwo ludzi się nie dostawało, natomiast z naszej klasy dostali się wszyscy, co było uważane za taki dowód wysokiego poziomu, jaki reprezentowała szkoła w tamtym czasie.

J.S: Czy utrzymuje pan kontakty z Zamoyszczakami?

K: Mamy do tej pory taką niewielką paczkę, choć minęło od matury 41 lat. Kontaktujemy się głównie mailowo. Z kilkoma osobami spotykamy się nieco częściej, bo jak bywam w Warszawie, a bywam dość często, to staram się spotkać co jakiś czas z którymś kolegą czy koleżanką. Zdarzały się też spotkania klasowe, no może nie było to przy 100% frekwencji, ale sporo osób się wtedy zjawiało.

J.S: A był pan na jakimś spotkaniu absolwentów Zamoyskiego?

K: Nie i nie należę do stowarzyszenia absolwentów, choć wiem, że takie funkcjonuje od bardzo dawna, ale jakoś nie złożyło się, żebym się skontaktował z tym stowarzyszeniem. Może jeszcze dodam jako ciekawostkę, że tę samą szkołę pięć lat przede mną ukończyła moja starsza siostra, a [już nie wiem ile, czekaj] blisko 40 lat wcześniej, maturę uzyskał w szkole Zamoyskiego mój ojciec, tuż przed wojną. To była zdecydowanie tradycja rodzinna i jak miałem powiedzieć 15 lat to trzeba było się zdecydować do której szkoły dalej idę i wspólnie z rodzicami podjąłem decyzję, że będzie to właśnie Zamoyski, bo ojciec kończył Zamoyskiego tuż przed wojną, a moja siostra parę lat wcześniej przede mną.

J.S: Czy widział pan budynek szkoły w Warszawie? Czy dużo się zmieniło od czasu, gdy ukończył pan szkołę?

K: Na pewno coś się zmieniło, bo troszkę gdzieś tam błądziłem, nawet ostatnio będąc chyba w styczniu, ale to błądzenie niekoniecznie jest wynikiem zmian tylko może mojej ułomnej pamięci. Ogólna topografia szkoły oczywiście się nie zmieniła, natomiast wiem, że zmiany nastąpiły chyba w obrębie boiska i sal gimnastycznych i tam właśnie zabłądziłem.

J.S: Dziękuję za wywiad.